

DZIENNIK MÓD PARYSKICH

Lwów, 29 lipca 1843.

Rok czwarty.

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincji dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcji pod nrem 301., we Lwowie.

M O D Y.

Paryż, dnia 15 lipca 1843.

Stroje damskie. Między najmodniejszymi strojami dają się postrzegać korunkowe peleryny i mantyle w różnym guście, wolanty, rańtuchy, woale i chustki *à la Antoinette*, a to z korunek wszelkiego rodzaju. Tak ich robota jak i krój jest wytworny. Po korunkach zwracają wszystkich uwagę suknie letnie, odznaczające się nadzwyczajną prostotą, i o ile z jednej strony zachwycające gustownością osobliwszą kroju i formy, o tyle znowu z drugiej strony ogołocone ze wszelkich ciężkich ozdób, któreby terazniejszej porze nieodpowiadały.

Niepewność pogody przedłużyła panowanie sukien takowych, noszonych powszechnie w wiejskich ustroniach, gdzie właśnie bawi teraz świat miodny. Suknie te bywają z materii jedwabnej opalowego lub kameleonowego koloru; te dwa przynajmniej są najulubieńsze. Forma ich ma w sobie coś szczególniejszego. Stanik i spodnica są otwarte i zapinają się w dalekich przedziałkach, na sposób tyrolski; otwór stanika obwiedziony jest fałdzikami *à la vieille*, rękawy są *à la Medicis*. Mantyla z muszlinu indyjskiego ozdobiona po bokach festonami i kapelusz z bardzo przedniego tiulu, ozdobiony gałązką róży i brzoskwini uzupełnia to eleganckie ubranie, i temwięcej odpowiada tej sukni, której świeżość i forma przedziwna tak powszechnie się naszym miejskim paniom podoba. Zamiast mantyli muszlinowej noszą też często mantyle tiulowokorunkową; tak jedne jako i drugie są teraz w wielkiej wzięłości.

Powiemy jeszcze słów kilka o sukniach które wprawdzie nie są tak wystawne, ale dość poszukiwane: są to suknie z sierści koziej lub też z bareżu

Aldudów, ozdobione wielkimi wolantami lub też wielkimi pływającymi ukosami. Na obiadach i wieczorach wiejskich panie dają jednozgodnie pierwszeństwo sukniom muszlinowym białym w paski, staniki u takich sukien bywają mocno wygorsowane, rękawy krótkie z festonami; chustka korunkowa *à la Marie Antoinette*.

Na strój rany domowy lub też negliż od wyjścia, niemasz nic piękniejszego jak szlafroczek pikowy biały, lub też koloru nankinowego; stanik z klapami u dołu, podobnie jak przód spodnicy w krągłe pętllice, rękawy po łokcie podobnie z haftami u szwów. Ten strój elegancki bardzo ma wielką wzięłość, podobnie jak wszystkie wynalazki Brunela i Leymeriego. Do uzupełnienia jego potrzebny jest kaszmirowy rańtuch i kapotka z główką grodenapłową i skrzydłami słomkowemi ozdobiona kwiatami.

Rycina przedstawia: suknię jedwabną, spodnica z dwoma ukośnemi falbanami, wycinanemi w zęby, stanik wysoki, ubrany tą samą materią, rękawy w bufki; kapelusz jedwabny, piórami i wstążką ubrany. Szlafroczek z szylerowskiej marseliny z przodu ubrany tą samą materią, staniczek marszczony, sznurem opasany, rękawy ukośne wąskie, na głowie negliżyk. Szlafroczek fularowy z przodu otwarty, sznurami ozdobiony, staniczek gładki wygorsowany, z półkoszulkiem, rękawy półdługie. Kapelusz ryżowy, kwiatami ubrany.

Stroje męskie. Klapy u fraków do spaceru jakoteż i do ubrania dają się szerokie. Kamizelki zaczynają nosić z kołnierzem wąskim niewykładanym, jak nam dzisiejsza rycina przedstawia.

U butów ciągle noszą obcasy wysokie, chociaż takowe do chodu nie są wygodne.

T R O S K A.

Pani R* była osoba młoda, ładna, uprzejma, pełna cnót i przymiotów, a takiego serca, że na niem przyjaźń śmiało wybudować mogła całą swoją świątynię.

Jednego z tych poobiednich wiejskich, długich czasów, kiedy deszcz nawalny padał sobie z nieba, pani R* przy oknie czytaniem zajęta, kończyła właśnie jedynasty tom francuskiego romansu pana Sue kiedy przed ganek dworu konny przygonił posłaniec, i oto, bilet różowy, elegancki, mokry troche podano pani R* na tacy.

— Ach to od mojej Julci! ciekawam, co mi pisze?

Ciekawość pani R* wyżej jeszcze nastroił jej małżonek, zrobiwszy te dosyć stosowną uwagę, że musiało zajść coś nadzwyczajnego, kiedy na taki czas, na taką plutę nie żalowano konia i trudzono człowieka.

— Bardzom ciekawa, mówiła pani R* odrywając szybko drżącą ręką miniaturkę pieczętki. Bilet był pisany w dwóch językach. Są Polki co się nie kontentują jednym językiem. Zaczynał się od tych słów:

Chere amie! Zaklinam cię na wszystko, co tylko może ci być najdroższego ne tardes pas et venes me voir dzisiaj jeszcze, *ou bien, pour le plus tard* jutro, ale to jak najraniej, jak będziesz mogła najraniej. *Vous me obligerez infiniment*, wszystko ci ustnie powiem, dowiesz się o wszystkim; *mais ne tardes pas, je Vous prie ma chere, je Vous conjure; Il me faut* twojej rady, twojej pomocy, potrzebuję w tym momencie, koniecznie, ale to koniecznie. *Mes compliments à Monsieur votre mari. Adieu, à revoir; tout a Vous.*

Julie.

Pani R* miała noc najniespokojniejszą; gdyby nie mąż który rozsądną zrobił uwagę, że już późno, deszcz pada, droga zła, byłaby pani R* dzisiaj jeszcze pojechała do Julii, przyjaciółki swojej, która ją tak czule wzywa, tak serdecznie zaklina; ale ledwie co się rozwidniło, już stał pojazd przed dworem. Już i pani R* była zupełnie gotową, tylko jeszcze szalik zarzucić na szyję, pierścioneczki pozbierać, do kapelusza przypiąć woal, teraz jeszcze rękawiczki, burnusik; już wybiegła do sieni; ach zapomniała jeszcze wzięść chusteczkę do nosa, i męża pożegnać, co dopełniwszy, skoczyła do powozu. Przez drogę było dosyć czasu, i mogła pani R* do woli nałamać sobie głowy nad zgadywaniem co by to było, co się przytrafiło Julii tak nagłego i ważnego.

Po półgodzinnej jeździe stanęła na miejscu. Julia już była ubrana i dwie przyjaciółki uściśniły się naj-

czulej. Kiedy w pokoju znalazły się same blisko siebie, na sofie, Julia biorąc za rękę kochaną lat dziecinnych towarzyszkę, zaczęła od dziękowania jej iż tak dobrą jest dla niej, że daje jej dowód swojej przyjaźni, a ona nie mając nikogo na świecie kogoby tyle kochała i w kimby tyle pokładała zaufania, jej, i jej tylko chce się zwierzyć i od niej tylko rady zasięgnąć, i żądać pomocy.

— *Mais*, coż się stało takiego? mówiła pani R* drżąc z niecierpliwości.

— Wszystko ci powiem; otoż wczoraj już wieczorem odebrałam list od mojego męża.

— *Eh bien!*

— Pisze mi o różnych rzeczach a między innemi donosi, że, do syna z pierwszej jego żony, przyjął guwenera.

— Coż więcej pisze?

— W końcu donosi, że we czwartek, to jest dzisiaj, tak dzisiaj właśnie, przyjedzie ten guwener już niezawodnie, i pisze mi, ażebym przygotowała wszystko co trzeba: pokój w oficynie gdzie ma mieszkać.

— Czyliż to ciebie tak alarmuje moja Julio? zapytała pani R*. Julia spuściła oczy i milczała.

— Niepojmuję co to ma znaczyć? mówiła pani R* głosem niespokojnym.

— Kochana moja! przed tobą nie mogę mieć nie skrytego, tobie się wynurzę, wszystko ci powiem, a ty mi poradź, co ja mam zrobić, co przedsięwziąć, jak temu przeszkodzić; ale to wszystko już zapożno będzie.

— Ależ moja Julio! ja niewiem o niczem, i nie mogę sobie nawet *wyimaginować* co ty widzisz w tem tak zastraszającym ciebie, że twój mąż przyjął guwenera dla syna, i że ten guwener przyjeżdża dzisiaj!

Julia wstała z kanapki, zbliżywszy się do podwoi zamknęła je na klucz; wróciwszy na swoje miejsce obok pani R* zaczęła mówić:

— Kochana moja! ty się dziwisz, zastanawia cię to zapewne, że wiadomość męża mojego tak mnie wzrusza, dotyka, przestrasza nawet; muszę ci tedy powiedzieć, że pan Mielecki, który przyjął miejsce guwenera w domu naszym, który dzisiaj tu przyjeżdża, tu do domu mojego na stałe mieszkanie, nie jest mi nieznanym.

Pani R* z coraz większą uwagą słuchała. Julia po małej przerwie mówiła dalej;

— Znałiśmy się, przez długi czas widywali, on bywał codziennym gościem w domu matki mojej; on mnie kochał.

— Co mówisz? przerwała pani R*.

— On to wyznał, że mnie kocha, szalenie kocha; że bezemnie żyć nie może, i tyle dowodów było prawdziwych, niezwykłej skłonności tego przywiązania dla którego wszystko poświęcić, na wszystko się narazić był gotów. Stosunki rodzinne i majątkowe musiały go oddalić odemnie. Zrobiłam inny wybór, ty wiesz to najlepiej moja kochana, więc pojdziesz teraz łatwo jak musiałam się zadziwić, ale i przestraszyć razem gdy się dowiedziała że pan Albin uniesiony tą nieszczęśliwą miłością ku mnie, może ostatniej oddany rozpacz, chwycił się takiego sposobu, przyjął funkcję gubernera w naszym domu, a to zapewne dla tego, ażeby mógł mnie widzieć, zbliżyć się do mnie, a nawet w jednym domu, w własnym moim domu zamieszkać ze mną.

Julia przestała już mówić. Pani R* widocznie była przerażoną tą powieścią przyjaciółki. W pierwszej chwili nie wiedziała co odpowiedzieć i daremnie łamała sobie głowę nad udzieleniem rady; środka ratunku wynaleść nie umiała.

Po długiej przerwie w rozmowie, pani R* wpadła na myśl dobrą.

— Zrób tak: napisz do męża, że—że... ten pan Mielecki ci się niepodoba.

— Że mnie się niepodoba? mówisz, ale to mi się zdaje trudnością i czybym mogła to napisać?

— To prawda, to trudno ci przyjdzie, to niepodobna tobie, azatem tak zrób: jak przyjedzie, powiesz panu Mieleckiemu, że to jego postępowanie dowodzi, że—że—jest—podłego charakteru.

— Jak to? co mówisz? — ja? ja mam mu to powiedzieć?

— Albo nie; tak najlepiej będzie, wcale niewidzieć się z nim.

— Masz rację, takby najlepiej było; ale przynaj sama, to będzie trudno dla mnie, prawie niepodobniostwem.

— I to prawda.

— Tem więcej, że on będzie szukał, ścigał mnie wszędzie, pomimo najstalszego przedsięwzięcia, to przecież musiałabym się z nim widzieć, jeżeli nie częściej, to choć raz na dzień.

— To już prawdziwie niewiem co ci poradzić; nie spodziewałam się nigdy, ażeby mężczyzna, zdolny był takiej miłości, i odważył się nawet na to.

Julia się zamyśliła słuchając tych słów przyjaciółki, i była bardzo smutną.

Przyjaciółki były jeszcze w swojej rozmowie, kiedy na podwórzu dał się słyszeć turkot zajeżdżającego pojazdu.

— Na boga! może to on! wykrzyknęła Julia; serce

jej z trwogi gwałtownie bić zaczęło. Pani R* drżała, w tem zapukano do drzwi; pani R* struchlała; Julia zerwała się z miejsca. Za drzwiami odezwał się głos służącego, który oznajmił że nowy pan gubernier przyjechał ze Lwowa.

— Moja kochana! jeżeli mnie kochasz (zaczęła mówić Julia) jeżeli mi tylko cokolwiek dobrze życzysz, nie opuszczaj mnie teraz, dzisiaj przynajmniej zostań zemną. Proszę cię bądź tak dobrą, zrób to dla mnie: (mówiła głosem drżącym) pójdz tam, ja nie mogę, ty mnie zastąp, przyjmij go tymczasem, z nim się rozmów, wyrozumiesz go, może potrafisz tak w dyskursie wybadać go, co on myśli, a w końcu nakłonić go.

— Droga moja! bądź spokojną; zrobię co tylko zechcesz, co tylko zapragniesz odemnie, i kiedy tego sobie życzysz, to pójdz, rozmówię się z nim, wyrozumiam go, a potem zaraz tu wrócę, wszystko ci opowiem; co? dobrze?

— O moja kochana jakżem ci wdzięczna! co to za szczęście dla mnie, że mam cię przynajmniej; gdyby nie ty, byłabym zmuszona może...

— Spuść się tylko na mnie, wszystko zrobię, ale...

— Coż się zamysłasz?

— Boję się tego tylko, że on może nie zechce mnie usłuchać, może nie potrafię mu wyperswadować i nakłonić go.

— Oh! proszę cię, użyj całej swojej wymowy, powiedz mu że...

— Ale prawda, może on już zapomniał o tobie; może kim innym zajęty?

— Czy tak myślisz? że on tak prędkoby zapomniał, i kim innym mógł się zająć?

— A dla czego nie, alboż nie wiesz co to jest ta miłość u mężczyzny? dziś tu przysięga, zaklina się; a jutro już mu to ani w głowie.

— Ha, gdyby tak było, jak mówisz, toby... ale ja wątpię; ty go nieznasz, ty wiesz jak on mnie kochał, przepadał za mną; ale jak ci mówiłam, stosunki rodzinne, majątkowe.

— Mówiłaś mi już o tem moja Julio! wiem teraz rzecz całą, i kiedy sobie życzysz, najchętniej podejmuję się, pójdz a potem tu wrócę do ciebie, i wszystko ci opowiem.

To mówiąc szła pani R* do spełnienia tego dosyć przykrego obowiązku przyjaźni. Julia została sama, niespokojna, z bijącym sercem, ciężkiem oddechem; czekała, wyglądała powrotu przyjaciółki. Po niedługiej chwili postąpiła szybki krok spiesznie biegnącej.

I we drzwiach spotkały się przyjaciółki: Julia nie-

spokojna, ciekawa, niecierpliwa; pani R* zaś śmiejąc się, wesola.

— Moja luba! mów, powiedz, widzisz sama moją niespokojność. Mówiła gospodyni domu, patrząc z zatrwożoną twarzą na rozweseloną twarz pani R*.

— Ależ moja Julio! twoja niespokojność... cha! cha! cha!...

— Proszę cię, zaprzestań, ja prawdziwie do śmiechu nie mam ochoty.

— Uśmiejesz się zemną moja Julio! uśmiejesz, zobaczysz, powiem ci zaraz.

— Mów, proszę cię, bo prawdziwie niemogę zgadnąć przyczyny twojej wesołości.

— Ależbo zawiódł się moja Julio! ten pan guwerner co przyjeżdżał do waszego domu....

— Coż takiego? coż takiego?

— To nie ten, wcale nie ten, o którym mówiłaś.

— To nie on? powtórzyła zadziwiona Julia.

— Eh gdzie tam! to jego brat rodzony.

— Jego brat?

— Nazywa się naturalnie także pan Mielecki.

— Byćżeto może?

— Zapewniam cię, że tak jest.

— A tamten! zapytała Julia.

— A tamten... moja Julio! możesz być zupełnie spokojną.

— Jakto spokojną?

— Zupełnie możesz teraz być spokojną; już pewnie *molestować* cię nie będzie.

— Jakto? dla czego? czy może z rozpaczy....

— A tak z rozpaczy za tobą ożenił się z młodą i bogatą wdówką; odpowiedziała pani R*. I mieszka gdzieś w żółkiewskim obwodzie nad samą granicą. Przyznaj teraz, czyli nie miałam racji, kiedy ci mówiła o tej miłości mężczyzn: kochał, szalał za tobą, przysięgał; a w końcu z inną się ożenił. Ale coż tobie Julio! czyliż się niecierpisz z tego? twoja obawa minęła, i możesz być zupełnie spokojną.

I patrzyła pani R* w twarz Julii, i nie mogła znaleźć tej, co szukała, radości na twarzy swojej przyjaciółki.

Adam Gorczyński.

Do H. R.

Puszczającej w czasie balu złoty woreczek na loterię dla pogrzelców Żmigrodu.

Stulistna rożyczko! królewską twą skroń

Jutrzenki błyszczącą wdziękami,

Przed różą-dziewicą w tryumfie cześć skłoń,

I wstydu pokraśnij farbami!

Bo piękność twa ziemską, twa piękność i woń

Chwilowa, jak kwietnia uśmiechy,

Ty duszą nie żyjesz, a życia ci błoń

Li kwitnie dla zmysłów uciechy!

Lecz róża-dziewica, niebiański to kwiat!

Potężna i wdzięki i czarem,

Jakiem chce uczuciem przestrzeli serc świat

I zmyje łzę pociech nektarem,

I cudnem, opatrzmem, jak anioł jej brat,

Gdziekolwiek spojrzeniem poleci,

Rozjaśni niedoli zchmurzony mgłą ślad,

I gwiazdą zbawienia przyświeci.

Precz tańce i dźwięki! w harmonii dźwięk

Splątałaś uczucia aniele!

O balo nad bale: zbolałych dusz jęć

Przewariować w wesele!

O balo nad bale wśród modłów i dzięk

Iść westchnień szczeblami do nieba,

A tyś tego godna, tak boski twój wdzięk

Ze tej mu ojezyny potrzeba...

13 czerwca.

A. Kłobukowski.

Kilka słów o wiedeńskiej wystawie obrazów

przez

F. X. JAWORSKIEGO.

Dokończenie.

Teraz cokolwiek o obrazach tak zwanych *genre* i krajobrazach. Najpiękniejszy, najprawdziwszy, najnaturalniejszy i ze wszech miar na uwagę zasługujący obraz jest p. Waldmüller: koniec szkolnej godziny. Szczególne ten niewielki obrazek zrobił na mnie wrażenie. Te bobaki wiejskie zniecierpliwione oczekiwaniem godziny, za jej uderzeniem w nieładzie wysypują się ze szkółki. Wyraz w fizionomiach krzyżących dzieci jest tak rozmaity jak ich różnobarwe chęci, odkrywa wszelkie namiętności i uczucia serc niezepsutych, wesołych prostaczków, te uczucia, które z taką prostotą i szczerością odbijają się tylko na twarzach dzieci, bo w późniejszym wieku rozważą i panowaniem nad sobą zwykle przytłumione i ukryte bywają. Koło dziewczęcia trzymającego za nagrodę obrazek, stoi kilkanaścioro dzieci. Ile naturalności! Złośliwość na twarzy jednych, zazdrość na twarzy drugich, głupowata ciekawość, dzieciom tylko wrodzona, radość, z resztą miłość obrażona innych; jestto najpiękniejsza gra serc w rozmaitych objawiająca się formach. Tam z drugiej strony płacze, zapewne ukarany, chłopczyzna a miluchne, litościwe dziewczę z wyrazem anielskiej dobroci głaskając go pod brodę, pociesza jak może. Tu znowu rozpustnicy powalili jednego na ziemię, xiążki upadły w nietładzie, a zwycięzca dusi go żartobliwie, wszystko po wiejsku, boso, podskakuje, cieszy się; we drzwiach świątyni umiejtności wiejskich pokazuje się z cierpkim u-

śmiecchem głupia twarz bakałarza, który grożąc palcem napomina z pedantyczną powagą za próg szkolny wybiegające dzieci. Tyle byłem zajęty tem prostem, szczęśliwym oddaniem tak prostego przedmiotu, że gdybym nie był słyszał, że pan Waldmüller jest celującym w swym rodzaju, powiedziałbym że dla poznania tych dzieci musiał być kilka lat bakałarzem, będąc w stanie utworzyć tak prawdziwe dzieło.

Perger przedstawił: Rannego Polaka dającego ostatni pierścień w zastaw lichwiarzowi. Twarz wiarusa znękanego, cierpiącego, dotkniętego nieszczęściem kraju i własnem, słabością z odniesionej rany, przytem ten wyraz wytrwałości i determinacji nadają obrazowi wartość prawdziwą. Z tyłu stoi żona biednego wiarusa, oczy zapłakane zakrywając chustką; kilku lichwiarzy przy stole z starannie ułożonemi fizjonomiami patrzą się obojętnie na zniszczonego żołnierza, a każdego wyraz fałszywy tłumaczy ile niegodziwe usposobienie wewnętrzne. Tem więcej ten obraz obudził we mnie sympatii, że jest jedyną sztuką mającą coś polskiego za przedmiot. Artyści polscy nie tego roku nienadesłali; mówiono mi, że w innych latach zwykle na sztukach Polaków niezbywało. I jakaż tego przyczyna?

Pettera dość duży obraz wystawia: Juniusa Brutusa przysięgającego pomścić się za zhańbienie Lukrecji. Grupa Rzymianów wcale nie jest w zapale ani w uniesieniu, a ich postawy więcej posągowe jak naturalne. Zresztą wyprężone muszkuły nie są dostateczne do wyobrażenia prawdziwego Rzymianina. Obraz zresztą piękny, ma nawet wiele prawdy, ale mało indywidualności.

Wspomnę także o obrazie Sanftla. Wprowadza on odwiedziny państwa na weselu chłopskiem. Młoda para z pokorą się im przedstawia. Jakiś stary, zapewne ojciec, z wszelką rewerencją ośmiela się ucałować rękę pani dziedziczki, a matka zdaje się zachęcać pannę młodą aby przecie co do wielmożnego państwa przemówiła. Niepewna fizjonomia lokaja stojącego z tyłu i zniecka obzierającego się chłopka, który go trunkiem częstuje, jest charakterystyczna; nawet jakiś kondel wiejski trzymany przez wiejskiego chłopca zdaje się z rewencją patrzeć na pańskiego pieszczonego wyżła. Kontrast życia wiejskiego z miejskiem szczęśliwie wykonany. Tu prostota i szczerłość, tam udanie i fałszywy rodzaj podziwiania. Tegoż samego artysty: wdowa jest bardzo pięknym utworem.

O mało com niezapomniał o obrazie Endersa: Belizar ślepy, siedząc na kamieniu, zostaje przez jednego towarzysza broni poznany. To niespodziane zadziwienie, a które wła-

śnie malarz chciał przedstawić, udało mu się z rzadką trafnością: żołnierz zdaje się niewierzyć swym oczom, że to ów stary wódz rzymski; wpatruje się, niedowierzając, cofa; a Belizar wystawia ręką, w którą dwie kobiety kładą mu jąmużnę.

Drugiego Endersa (ojca) obraz: Madona z dzieckiem, nie ma nic niebiańskiego, nie prawdziwie świętego, po czemby matkę zbawiciela poznać można. Jego zaś obraz Romeo i Julia zdaje się być cokolwiek za jasny, cery za rumiane, kolory za żywe, choć prześliczne twarze. Ta dobroć Julii, kiedy obejmuje po sznurowej drabince wchodzącego Romea, jest prawdziwie dobroć anioła pocieszyciela. Ja przynajmniej inaczej tę scenę Shakespear'a sobie wystawiam i wątpiłbym czy tutaj artysta szczęśliwie rozwinął swój pomysł.

Przewóz przez rzekę podczas burzy przez Rittersa jest bardzo piękny, dobrze wykonany. Mają to być prawdziwe portrety trzech osób. Jeden malarz sam, dwóch jego znajomych, reszta figury idealne.

Okolica leśna Kokena jest cudna. Zdaje mi się że widzę chałupę naszego leśnego, słyszę opłożenie się mszystej trawy z pagórka i patrzę się na ten piasek czerwonawy, w małych ziarnkach toczący się za bryłą. Las sam jest *non plus ultra*, a grupy drzew nie mogą być naturalniej oddane.

Steinfeld: strumyk leśny szumi po drobnych kamyczkach, pieni się w małych skalistych obłamach.

Wędrująca rodzina cygańska Barabasa przypomniła mi żywo naszą złodziejską hałastkę. Stary cygan na koniu, koło niego jak cielęta pozawieszane bachóry, obzierają się poza siebie. Stara cyganka paląc fajkę niesie miotły na plecach, całe podobno jej gospodarstwo. Młody cygan, obdarty, prowadzi na sznurku tłustego wieprza, którego jęczmieniem do pochodu zachęca. To ostatnie jest szczególne.

Borsosa: kostium emira z Libanu, z rzadką wykonany zręcznością, jest szczytnym wzorem malarzkiej techniki. Na pęzlu Borsosa żółty kolor przybiera postać złota, a biały szklił się blaskiem srebra. Omamienie jest tu posunięte do najwyższego stopnia.

Eybla druciarz jest wierną kopią po Wiedniu chodzącego Sławaka. Idealne krajobrazy Swobody i Mayra walczą o pierwszeństwo z naturą, a krajobrazy podczas pory zimowej Pipenhagena i Haanena nie pozostawiają nic do życzenia. Sąto prawdziwie z całą prostą naturalnością wykonane sztuki. Z portretów najcelniejsze zdały mi się Schrotzbergera, Waldmüllera i Engerta (podobno Polak ten ostatni).

Tyle więc o wystawie tegorocznej obrazów; sąto ile sądzę najlepsze sztuki z pomiędzy innych miernych.

Zahradniczek przedstawił kostiumy ludów zostających pod berłem Austrii. Patrząc »aus Galiciem«. Długom myślał z jakiejto okolicy te galicyjskie chłopki. Nareszcie po kapotach mężczyźni, gorsecikach kobiet, musiałem się domyśleć, że z pod Krakowa; a jakkolwiek znam dobrze krakowskie okolice, podobnych tam strojów wiejskich nie widziałem nigdzie. W takiej kapocie wystawiam sobie szewca z Dobrezyc; albo rymarza z Brzeska; a ubior kobiet zakrawa wiele na miejskie wojnickie elegantki. Zahradniczek zapewne nigdy nie był pod Krakowem.

Może nie jeden czytelnik dziennika więcej sobie po moim obiecywał opisie, winienem zatem dodać, że krytyka i ocenienie prawdziwe należy do artysty z powołania; ja ośmieliłem się tu wynurzyć tylko moje zdanie, w przekonaniu, że piszę nie dla malarzy i artystów, ale jedynie dla podobnych mnie miłośników sztuk pięknych.

ROMEO I JULIA.

TRAGEDIA SHAKESPARA. *)

Akt II.

Scena szósta.

M N I C H.

Ten związek łaską niech się święci boską,
By nas dnie przyszłe nieskaraly troską.

R O M E O.

Amen! powtórzę; lecz choć przyjdą smutki
Choćby najcięższe, szczęścia nieprzeważą
Jakie mi z każdej zakwita minutki
Z nią przepędzonej; a gdy się skojarzą
Już ręce nasze słowem twojem świętem,
Śmierć gubi miłość, inni jej się boją,
Mnie dość, że Julię nazwać mogę moją.

M N I C H.

Dzikato radość skończy w dzikim zgonie;
W tryumfie swoim strawi się i spłonie,
Jak proch z płomieniem gdy się razem spotka
W całunku znika. Kto zbyt kuje w mierze
Zmierzi go miodu słodycz zbyt słodka,
I do słodyczy smaku mu odbierze.
Kochaj więc miernie; skora czy leniwa
Miłość u celu zawsze późną bywa.

Julia się zbliża.

Paniuszka idzie, patrz, lekkością nogi
Ledwie o twarde ociera się progi.
Kochanka spocznie i na pajęczynie
Która jesienne pcha przyobleka,
Marności świata ach jakżeś ty lekka!

J U L I A.

Dobrym wieczorem pozdrawiam was ojcie!

M N I C H.

Romeo za to dzięki składa grzeczne.

J U L I A.

I jemu dobry wieczór, bo zbyt czyste
Byłyby dzięki.

R O M E O.

Julio jeśli równą

Masz radość w sercu wraz z zemną, jeżeli
Wylać ją zdołasz twą wargą wymowną,
Niech się twój oddech swą wonią rozdzieli
Po tem powietrzu; a muzyką głosu
Objaw tę błogość jaką sobie wzajem
W tem przybliżeniu do siebie, podajem.

J U L I A.

Uzucie swoją bogate osnową;
Kto skarb swój zliczy żebrakiem go zwiemy.
A miłość moja tyle jest bogatą,
By ją ocenić niema miary nato.

M N I C H.

Chodźmy, do sprawy świętej przystąpimy,
Bo wam być razem jeszcze nie przystało,
Póki niezłączy kościół w jedno ciało.

Akt III.

Scena druga.

J U L I A.

Ognistoniogie lećcie wy pogonie
W Feba gmach złoty. Faeton woźnicą,
On was zapędzi ku zachodniej stronie
Szybko tu przyśle noc pochmurnolicą.
Nocy! miłości druchno! spuść zastony
Swoje zwinięte; weź w swoje zamknięcie
Oczy ciekawych, by niepostrzeżony
Romeo w moje rzucił się objęcie;
Na ten miłości obrzęd tajemniczy
Dość blasku lico kochanków użyczy.
Gdy miłość ślepą jest, noc jej przyjazna
I jej przystała. Przyjdź nocy poważna
Ty cichoskromna pani! cała w czerni,
Tej gry mnie naucz w której młodość rađa
W stawkę małżeństwu kwiat dziewiczy składa;
Krew rozburzoną, co mi twarz zalewa
Przysłoń twym czarnym płaszczem, aż trwożliwa
Miłość się stanie śmielszą i nie straci
Myśl niewinną, choć w roskosz się z bogaci.
Przyjdź nocy! Romeo dniu mej nocy!
Ty legniesz bielszy na skrzydełkach nocy
Niż śnieg, gdy spruszy czarne kruka pióra;
Przyjdź nocy miła, miłośna, ponura!
Daj mi Romea mego; a jeżeli
On umrze kiedy, weź go; w dłoni twojej
Niech się w maleńkie gwiazdeczki rozdzieli
A lico nieba sobą tak ustroi,
Że świat się w nocy zakocha, i w końcu
Przestanie składać hołd pysznemu stołcu

*) Tłumacz przetłumaczył całą tę tragedię; niżejszych scen parę należących do najpiękniejszych umieszczamy tu dla porównania z tłumaczeniami dawniejszemi. p. w.

Kupiłam sobie dom miłości cudny,
Lecz w nim nie mieszkam; i jam zakupiona,
Jeszcze niewzięta.

Ten dzień długi, nudny,

Jak noc przed świetem dziecinie maleńkiej

Co rada w nowę się ubrać sukienki.

wchodzi mamka.

Mamka powraca i niesie mi wieści,

A wargę każda co Romea imię

Wymawia, głosem aniołów mnie pieści.

Coż mamko? powiedz! co niesiesz? drabinkę?

Romeo przysłał?

M A M K A.

Tak drabinkę niosę.

J U L I A.

Biada mnie! powiedz czego łamiesz ręce?

M A M K A.

Boże litości! już umarł, nie żyje,

A my zgubieni, na wieki zgubieni,

Umarł zabity; o chwile żałośne!

J U L I A.

Czy tak dalece niebiosą zazdrośne?

M A M K A.

Nie niebiosą, nie! to Romeo raczej

Romeo! o nim myślałam inaczej!

J U L I A.

Ty co mnie dręczysz, ktoż jesteś szatanie!

W takim odgłosie ryk dziki, bydłęcy.

Sam sobie życie wziął? na to pytanie

Odpowiedz, czy tak? ta odpowiedź więcej

Jak bazyliuszka oko jest zjadliwa;

Odpowiesz że tak: ja padnę nieżywa.

Czy zabity? mów, tak! nie! krótkim głosem,

Jedna sylaba rozstrzygnie mym losem.

M A M K A.

Własne me oko te ranę widziało

Na jego piersiach, ulituj się boże!

I to skrwawione! oh okropnie ciało!

Jak popiół sine, krew się jeszcze wlektą,

Już zimna; gdym to widziała, uciekła.

J U L I A.

Rozłam się serce nędzne i obdarte!

Gaśnijcie oczy! rzuce was do lochu,

Ty do swej ziemi wracaj nędzny prochu!

Ty pulsie życia zatrzymaj się, stanij,

Mnie z nim do jednej wyrzucicie otchłani.

M A M K A.

Tybald, nasz Tybald, przyjaciel życzliwy,

Pan taki grzeczny, czyż nato ja żyła

Abym się śmierci jego napatrzyła?

J U L I A.

Jakaż to burza z innej strony bije?

Mój mąż zabity? a Tybald nieżyje!

Drogi mi krewny, mąż mi droższy jeszcze;

Zagrzmij ty sądu strasznego puzanie!

Gdy ci nieżyją, ktoż żywym zostanie?

M A M K A.

Tybald nieżyje, Romeo wygnany;

Przez niego Tybald był zamordowany;

J U L I A.

Co? ręka jego Tybalda zabiła?

M A M K A.

Biada nam! ręka jego to zrobiła.

J U L I A.

O serce węża w pięknym kwieciku wianku!

Byłże smok kiedy w tak powabnej norze?

Zbójca tak ładnym? taki wilk w baranku?

W gotębich puchach kruk? anioł w potworze?

Niebiańska postać przy takiej brzydocie?

Tak sprzeczny pozór swej wewnętrznej istocie?

Pyszny złoczyńca; a święty przeklęty;

Naturo! coż cię do piekła zawiodło?

Kiedys w tym raję powabnego ciała

Łoże brzydkiemu szatanowi słała.

I byłaż xięga w swej treści tak podła,

A tak oprawną ozdobiła? O boże

Że taki pałac fałsz zamieszkać może!

M A M K A.

Niema wierności teraz! wiary żadnej

Ni czci w męczyźnie; dzisiaj każdy brzydki,

Krzywoprzysięzca, obtudny i zdradny.

Gdzie jest mój sługa? daj mi akwawitki,

Troski, kłopoty już mnie starą robią.

Hańba niech spotka Romea!

J U L I A.

Niech tobie

Za to życzenie język schnie w chorobie

Hańby dla niego niema; jeśli siędzie

Na jego czole, zawstydzac się będzie.

To tron, gdzie wieńczyć koroną przystało

Honor, co rządzi jak król ziemią całą;

Jam złorzeczyła jemu! o hezboźna!

M A M K A.

On ci krewnego zabił, ty go bronisz?

J U L I A.

Swemu mężowi czyż złorzeczyć można?

Biedny małżonku! kimże się zastonisz,

Jeśli twe imię plamić będzie żona

Przed krótką chwilą tobie poślubiona?..

Lecz ty niedobry! w jakowej potrzebie

Tybaldaś zabił? on chciał zabić ciebie?

Ezy płoche! wróćcie do waszego źródła,

Wam służyć smutkom; uczuciom wesela

Omyłka chyba lży moje udziela;

Mąż żyje, chociaż śmierć mu zagrożono,

Zabity Tybald, co mierzył mu w łono.

To szczęście; czegoż płacze? bom słyszała

Niż śmierć Tybalda, gorsze słowo jedno;

To mnie zabiło. Obym zapomniata;

Oh ono cięży i w pamięć się wdraża

Jak czarna wina w sumienie zbrodniarza!

Tybald zabity, Romeo wygnany,

Oh to wygnany, to słowo wygnany

Gorsze od śmierci Tybaldów tysiąca.
 Już zgon Tybalda, wieść przerażająca,
 Czyż drugiej trzeba? Gdy żadna z boleści
 Sama niedotknie; klęski się gromadzą
 Jedna do drugiej; czemuż do tej wieści:
 Tybald nieżyje, innej nie dodadzą?
 Że matka, ojciec, że zmarli oboje,
 A łagodniejsze będą skargi moje!
 Ale to słowo: Romeo wygnany
 Śmierci Tybalda kiedy się uchwyci,
 Ojciec i matka — Tybald i Romeo
 Julia, wszyscy już razem zabici.
 Romeo wygnany śmierć aka w tem słowie!
 Niema granicy, końca, kresu, miary,
 I żaden język mych mąk niewypowie!
 Gdzie matka moja? gdzie mój ojciec stary?

M A M K A.

Płaczą i jęczą nad Tybalda ciałem;
 Chceszli iść do nich? Ja cię przeprowadzę.

J U L I A.

Ich iza w tej ranie krewnego zostanie;
 Ja moją męża oplaczę wygnanie.
 Podnieść te sznury, oszukane ze mną,
 Wygnańca czekać będziecie daremno!
 Miaty go zanieść do mnie tajemniczo;
 Ale ja umrę wdową a dziewiczą...
 Chodź mamko ślubne wyścielać mi łożę,
 W dłoń śmierci wianek mój dziewiczy złożę.

M A M K A.

Idź do alkowy, na pociechę tobie
 Znajdę Romea, wiem kędy się kryje;
 Słuchaj, tej nocy on ciebie odwiedzi,
 Idę do mnicha, tam ukryty siedzi.

J U L I A.

Idź, me życzenie ponieś z tym pierścionkiem,
 Bym choć pożegnać się mogła z małżonkiem.

A. Gorczyński.

M Y Ś L I.

Autor, który z piórem w rękę walczy z opinią, z przesądami swojego wieku, a co więcej, swojego towarzystwa, swojej kasty, daje dowód większego mężstwa i poświęcenia, niż rycerz, który życie swoje naraża na polu sławy. Mężstwo drugiego jest więcej instynktowe, machinalne, jeżeli się tak wyrazić wolno. Idzie on często za popędem drugich, tysiące walczą obok niego, walczy on za swobody kraju, którego jest członkiem i którego losy podziela, wie on iż nie każda kula zabija, że z powrotem czekają go laury i oklaski; a gdyby pozostał, wzgarda i wyrzuty. Ale pierwszy jest nie tylko bohaterem, lecz oraz prawdziwie chrześcijańskim męczennikiem! Nagrodą jego mężstwa, poświęceń i bezustannej walki, są zawsze prawie potwarze, nienawiści i nieczemne pociski dusz podłych, które jak żaby krzyczą na słońce, bo może wysuszyć nieczyste ich bagna. Walczy on często sam jeden, opuszczony, niezrozumiany nawet od tych którzyby go zrozumieć mogli, doświadcza on co chwila tej smu-

tnej prawdy, że wszelka wyższość razi drugich. Odstąpią krewni i przyjaciele, a najbliżsi będą przeciw niemu. Serce jego napawają goryczą każdorazową; na tem polu walki każdy pocisk trafia, zręczną czy nie zręczną wymierzony dłoń, bo nieustannie klucze lichego owadu często mocniej dotyka i niecierpliwi, niżeli potężne razy silnego wroga. Ież mu potrzeba mężstwa i wytrwałości aby nie ostygł w zapale, aby daną mu misję z nieba wykonywał sumiennie, by żadnemu nie przepuścił przesądowi, w jakkolwiek ułudnej przedstawia on się postaci. By poświęcił swój spokój, swoje domowe szczęście na ołtarzu prawdy. Poświęcenie świat zbawiło, poświęcenie codziennie go zbawia, bo doskonalili: bo myśl boga tłumaczy ludziom i zamiary nieba wypełnia na ziemi!

Samotny i nieznanый świeci blady księżyc na niebie, tłum ciekawych i wesółych gwiazdek spogląda na niego, zdają się one uragać smętnej i łzawej jego źrenicy, nie masz dla niego sympatii w tej łyskotnej i obojętnej tłuszczy, która go niepojmuje. Waszto los i wasz obraz wszyscy, poeci serca, z ognistą duszą i mężstwem bohatera! Świat zimny i ciemny oświeca się światłem waszem, rozgrzewa przy waszym słońcu; a ciska wam w zamian strzały swej przewrotności i ciemnoty, jak te tłumy czarnych, skrzydlatych owadów, które promień słońca budzi do życia, a które unoszą się chmurą ku niemu, radeby go przyćmić i zasłonić. Ież szlachetne dusze wasze cierpieć muszą w ciemności! ileż też gorzkich uronionych w głębi serca! Jakże nawet często wzdrygać się musicie nad obranym rodzajem broni do tej walki, bo przewrotność ludzi, jakkolwiek zawsze bolesna dla czystej i wzniosłej duszy, często tak śmieszna ma stronę, iż tylko bronią śmieszności i satyry da się wytknąć i zwalczyć. Używać wtedy broni łagodności i powagi, byłoby to zabijać muchy maczugą Herkulesa.

Lecz jest głos w sumieniu waszem, który wam te wszystkie osładza cierpienia! głos ten przemawia do was: »Walczeć odważni, chrześcijańscy rycerze! strącajcie bałwany dumy i przesądów, przed którymi przez wieki klekały prostoduszność i głupstwo. Rozrucajcie silną dłońią ten mur chiński, za którym ukrywały się przewrotność i ciemnota. Rozświecajcie promieniem myśli tę czarną otchlań, w której tysiące niewinnych ofiar gubiło się w zaślepieniu. Sądźcie róże z których dla was dostaną się jedynie ciernie na tej niewdzięcznej ziemi, bo wy po wznioślejszą dążycie nagrodę.

* * *

My kobiety długo zostajemy dziećmi, długo niema dla nas doświadczenia, bo lubimy wierzyć w wyjątki, a ta prawda iż z jednakich przyczyn jednakie rodzą się skutki, nigdy w naszej głowie pomieścić się niemoże; zasady mądrości i roztropności świata są w prawdzie w ustach naszych, rządzą naszemi czynami dla oka świata, póki się im nie silniejszego nie sprzeciwi; ale nie trafiają one do naszego przekonania, ani je rozum uznać ani serce w nie wierzyć nie chce, lecz czujemy instynktowo, że w tej martwej literze przepisów jest myśl ukryta, którą nam nasze dotychczasowe wychowanie odgadnąć nie pomaga.

Leopoldyna Bobrowska.